NUMER 1. STYCZEN 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

POLSKA W SYMBOLACH.

Symbolu znak niemy stawał się czasem hasłem i zawołaniem całych pokoleń. Zrodzony w bolu, rozpaczy, czasami w chwilach tryumfu, zwykle z wielką jakąś nadzieją związany, stanowił i program polityczny i agitacyjny płomień. Patrzącym serce grało szumne *sursum corda* lub łkaniem się piersi podnosiły. Symbol z emblematem bywał piorunującym wychowawcą mas, podchwycony w chwilach osobliwych krystalizował duszę narodu w jedno uczucie i jeden tego uczucia wybuch wywoływał. Dopowiadał to, czego poeci nie dośpiewali, czasem ich pieśń oblekał w kształty rzeczywiste, a zwykle był heroldem myśli politycznej, ścieżki jej prostował, wskazując cel ostateczny w żywej postaci.

Porozbiorowa Polska odziedziczyła symbol po tem wszystkiem, co przez wieki stanowiło jej treść i pokarm ducha. Mitologiczne wzory i chrześcijańska symbolika, armatura herbowa i pięknie ułożony trofej wojenny, sam herb i panegiryczne próby jego czytania, obrazowość pisma świętego i potocznej mowy, barokowy gust, lubujący się w orłach, geniuszach i chmurach, wszystko to przyniosło tyle prawie symbolów, ile jest słów w polskiej mowie, ile ich tylko zrodzić mogła duma rodowa i narodowa, ból, radość lub nadzieja, ile ich tylko wysnuć mogli poeci, stworzyć malarze.

Wśród nich są symbole piękne, duszę w górę rwące. Obok kaprysu i chwilowego porywu, są takie, co na czas dłuższy stawały się wiarą całego narodu i czynów jego drogowskazem.

Z nich kilka przypomnieć się godzi.

W ogromnej masie zjawisk życiowych porozbiorowej Polski, usymbolizowane zostały i takie, co jak błyskawica przeszły, a obok nich i te, co w historji zostały, usymbolizowaną została całość męczeństwa Polski i jej troski z osobna.

Parę z nich przypomnieć trzeba.

Są wśród symbolów Polski porozbiorowej martwe już znaki dzisiaj, są też takie, które się nie zestarzały i dziś jeszcze temsamem przemawiają uczuciem. Z jednych i drugich uszczknąć można sporo pamiątek i spominków.

Przynosimy wiązankę symbolów, zebranych z różnorodnych pomników narodowego życia*). Nikt ich dotychczas nie zbierał, nikt żadnej całości nie złożył. I wiązanka niniejsza całością nie jest — bo z pośród symbolów typowych niesie ich



MEDAL na pamiątkę ofiar z lutego i kwietnia r. 1861 w Warszawie.

*) Materjał ilustracyjny do niniejszego artykułu pochodzi ze zbiorów redakcji.

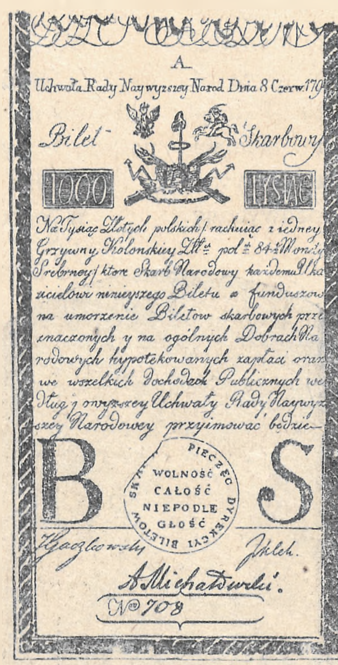
kilka tylko, jako przypomnienie okresów Polski porozbiorowej.

Wśród nich pierwsze miejsce zajmie to, co może na końcu być winno, jako ostatni, skupiony w sobie blask mesjanicznej idei, jako myśl, którą zrodził bolów ból całej epoki, symbol, który pięknie wyraził i nastrój chwili swojej i wiarę swojego czasu...

Medal na pamiątkę poległych i pomordowanych w roku 1861 w Warszawie, czasu największego napięcia ducha polskiego i jedynej w dziejach ofiary.

Na „ziemi mogił i krzyżów" w płaszczu królewskim niewiasta. Ze skrzydeł orła polskiego suknia jej, twarz jakby z grobowca królowej Jadwigi, dębowy liść, niby wspomnienie zwycięstw i chwały, a raczej zwycięstwa duchowego, wiary co z krzyżów nagrobnych siłę zaczerpnie, a z nazwisk na sarkofagu nadzieję, że „z krwi waszej powstanie mściciel tej ziemi".

Ktokolwiek robił i projektował ów medal, numizmatyk Zelt, czy zapomniany już dziś artysta, to jedno jest pewne, że symbol jego ogarnął całą istność i całą wiarę Polski porozbiorowej. On mówi to, co niewypowiedziane leżało w duszy legionów i żołnierzy listopadowych i mieszkańców kazamat. Przedpowstańczy medal na małej przestrzeni skrystalizował epokę wielkich wieszczów narodu u samego jej schyłku, uzmysłowił Polskę, tak, jak się ona przedstawiała ludziom swego pokolenia, w królewsko-wdowim płaszczu i koronie na głowie, z herbami ziem swoich cmentarnych.



Banknot Kościuszkowski z r. 1794

Tu niema walki, ani jej nastroju — cicha rezygnacja tylko, ofiarny stos i niespożyta nadzieja.

W piorunach walki, w haśle „wolność, całość, niepodległość" uzmysłowił się natomiast symbol na Kościuszkowskich banknotach. Walka się poczynała dopiero, a bronią jej były kosy i piki. Nad nimi Polska i Litwa, Orzeł i Pogoń, a wśród nich rewolucji symbol francuskiej, czapka frygijska, zatknięta na szańcu: znak czasu i poczęcia się w Polsce idei rewolucji, w jej wolności i prawach człowieka.

A to prawo człowieka, z wielką ideą powołania do walki o wolność i uobywatelenia ludu wiejskiego, to wielkie słowo Tadeusza Kościuszki nigdzie może piękniej nie zostało usymbolizowane, jak na sztandarze, który wojewodzina brzesko-litewska Zybergowa wyszyła dla batalionu kosynierów krakowskich: Na tle karmazynowem snop zboża, przez który na krzyż pika i kosa. Liść dębowy u dołu, krakuska u góry, a nadewszystko słowa „żywią i bronią" — prawda wielka, co wówczas zaświtała narodowi i w chwili upadku powiodła go na pole... racławickie.

Zwycięskich jednak symbolów nie wiele było w Polsce porozbiorowej. Jeden z nich zbudował Jakób Kubicki, odrysował Zygmunt Vogel, wysztychował na miedzi „Carl" August Richter. To łuk tryumfalny „dla wojska narodowego, po szczęśliwie dla oręża polskiego odbytej kampanji r. 1809" wystawiony obok „złotych krzyżów" na Nowym Świecie w Warszawie. Epoka wielkiego Napoleona piętno swe przemożne wycisnęła na ludziach współczesnych, myśli, czynach, nadziejach narodu polskiego. Poznać ją także w cesarskim stylu łuku tryumfalnego, na jego emblematach, armaturze, szczegółach. Orzeł ukoronowany na tle sztandarów, opasany w pół wieńcem laurowym, po bokach armatura według wzorów rzymskich, słupy z dwoma pękami rózg rzymskiego liktora, u stóp łuku ludzie w stroju, którego formę zapożyczyła moda ówczesna od Rzymian. Sam łuk tryumfalny, jak na powitanie cezara... wielkiego Napoleona, którego duch zresztą hipnotyzował wówczas społeczeństwo polskie. I napis na łuku czysto rzymski: „Wodzowi i wojsku zwycięskiemu — wdzięczni obywatele".

Wspaniały, strojny, efektowny, odbijający żywo od starych i ubogich domów współczesnej Warszawy — łuk ten przemawia całą ułudą napoleońskiej epoki...

(C. d. n.). *Fr. Jaw.*

ADAM SZYMAŃSKI.

MATKA
(Pani Kozłowska)
Szkic – z cyklu „ROK 1863“.

Na samym początku łagodnej zimy niedawno rozpoczętego 1863 roku wypadł dzień, który na długo utkwił w pamięci mieszkańców miasteczka W., stolicy dawniejszej ziemi liwskiej.

Już od rana starsi ludzie, wychodząc na świat boży, jakoś uważniej rozglądali się wokoło.

Mróz był malutki, śnieg pruszył leniwie, jak to nieraz w tym czasie bywa, ale było tak znacznie ciemniej, niżby być powinno, że każdy po wyjściu mimowoli podnosił głowę do góry, podnosił i stawał jak wryty.

Calutkie niebo, precz, aż po krawędzie widnokręgu, zasuły chmury groźne i straszne, formą — potworne, a barwą — jak noc czarna — ponure. Bezkształtne masy nito cielska płazów kłębiły się i przewalały, nie tam jednak daleko i wysoko, gdzie chmury zwykle przebywają, ale tuż, tuż prawie nad samą ziemią, przewalały się i pełzły coraz niżej i niżej, jak gdyby runąć na tę ziemię i pochłonąć ją miały.

I groza jakaś wionęła na niziny ziemskie od tych widziadeł powietrznych i lęk wielki szedł od nich i ogarniał serca ludzkie.

W powietrzu pomimo małego mrozu duszno było i nietylko widziało się, ale i czuło ogromny ciężar tych mas olbrzymich, nawisłych nad głowami, czuło się tembardziej, że jednocześnie krótkie i gwałtowne porywy wichru, ze świstem i jękiem przelatujące około murów świątyń, zdały się być przygrywką nowej i straszniejszej grozy.

I rzeczywiście, dzikie porywy wichru wkrótce tak się wzmogły i spotężniały, że nie upłynęło i pół godziny, gdy wszystko żywe znikło z ulic miasta i wielka śnieżna burza z rykiem i pędem huraganu uderzyła na siedziby ludzkie.

Straszna zamieć ucichła dopiero przed wieczorem. To też, gdy w czasie zachodu poprzez rozrzedzone obłoki przedarły się błyski słońca, opustoszałe ulice zaroiły się mnóstwem ludzi. I długo w noc późną dzieci i wyrostki wynagradzali sobie bezczynność dnia całego huczną zabawą na śniegu, a starzy jeszcze dłużej gwarzyli po domach, tak długo, że zaledwie skrzypnęły i zawarły się drzwi ostatnie, zaledwie zgasły ostatnie światełka — już zapiały pierwsze kury.

Zapiały pierwsze kury i nie wypiały się jeszcze, jak należy, gdy na najszerszej ulicy miasta, przy której wznosił się klasztor Reformatów, rozległo się piekielne wycie. Chociaż wszędzie po domach już ciemno było, przecież nikt nie spał jeszcze, gwarzono bowiem dalej lub modlono się po ciemku.

Gdy więc przerażające wycie, wśród ciszy nocnej od murów świątyni coraz głośniej odbijane, nie zmniejszało się, ale z każdą chwilą rosło i potężniało, wychodzić zewsząd zaczęto i wkrótce przed każdym domkiem stały kupki ciekawych, żywo rozprawiających ze sobą.

Przez całą szerokość ulicy, w kilku szeregach, jak gdyby ustawionych, siedziały psy, z całego miasta zebrane, siedziały i wyły przeróżnemi głosy, wyły przeraźliwie i żałośnie. Niepomagały żadne nawoływania. Ponura muzyka z krótkiemi przerwami trwała z pół godziny i uspokojona po burzy mieścina ponownie strwożoną została. Świateł wprawdzie nie zapalano, ale nawet i dzieci, co starsze, pobudziły się i z trwogą słuchały długich powieści o znakach niebieskich, przepowiedniach i cudach najdziwaczniejszych.

I tajemnicze szepty przeciągnęły się po wszystkich domkach długo, długo w noc późną...

Przeczuwano już bowiem z wieści głuchych, idących po kraju, że zbliżają się owe dnie niedoli okrutnej kiedy mówić będą: „błogosławione niepłodne i błogosławione żywoty, które nie rodziły i piersi, które nie karmiły“...

*

I zasnąwszy zbyt późno, spało całe miasto tak twardo, że nikt w niem nie słyszał i nie widział prawdziwego prologu zdarzeń, mających tu wkrótce nastąpić. Nikt nie słyszał i nie widział, jak o świcie tej nocy trwożliwej wojsko i wszystko, związek z nim mające, opuściło swe stanowiska; w kilka zaś dni potem zbrojny oddział powstańców z dwustu ludzi złożony, tą właśnie najszerszą ulicą wszedł do miasta, zajmując opuszczone przez wojsko posterunki...

W cichej mieścinie zawrzało inne życie.

Nie możemy opisywać życia tego. To, co było gdzieindziej, było i tutaj także, ale było też niejedno, czego gdzieindziej wcale niebywało lub też bywało zupełnie inaczej. I bardzo naturalnie.

*

Tu bowiem było jedno ze środowisk tych podlaskich mateczników szlachty polskiej, z których kiedyś, gdy uniwersały królewskie dotrzeć do

wiosczyn najdalszych i zagrzać serca panów braci zdołały, czterdzieści tysięcy szabel na obronę Rzeczypospolitej stawało.

Nie spełniłaby Rzeczpospolita swych zadań, gdyby nie ów mnogi a biedny lud szlachecki, co świadomie i rozumnie z własnych piersi tworzył dla ukochanej Rzeczypospolitej groźne szańce ruchome.

Ludzi, gorejących ku wybrance myśli i uczuć narodu miłością czystą, bezwątpienia hodował cały naród, ale przed innemi hodowały ubogie ziemie Mazowsza i Podlasia, hodowały w warunkach uciążliwych i twardych, w znoju i pracy nad ziemią piaszczystą i błotnistą, w ciągłej trosce o chleba kawałek.

To też harda brać szlachecka na Podlasiu, a szczególniej w przyległych ziemiach liwskiej i łukowskiej ubogą była, jak ich matka-żywicielka, ubogą była bezmiernie. Jałowa ziemia nie rodziła tu lipiny i brać tutejsza nie mogła być nawet chodaczkową, jaką już na Zabużu w starostwie mielnickiem i ziemiach drohickiej i tykocińskiej bywała — ale była zupełnie bosą. Butny dziedzic wąskiego piaszczystego zagona na zjazdy i sejmiki bosonogim zwykle chadzał.

A ubóstwo owe potęgowała jeszcze niezwykła rojność szlachty. Wiara jednak, że „gdy Bóg da dzieci, to da i na dzieci“ była i jest dotychczas na Podlasiu świętą i niezachwianą. Silny instynkt samozachowawczy organizmu zdrowego: „im nas więcej — tem lepiej“ — wytwarza tu ufność w siebie, w swe siły, w potęgę licznej rodziny, jako znacznej już siły zbiorowej. Nędzarz, który nie wie, co mu jutro w garnek wsypać wypadnie, jak składał przed wiekami, tak i dziś składa w wierze gorące wota cudowne, za grosz ostatni kupione, błagając niebiosa... dzieci.

Ludno więc tu zawsze i gwarno bywało.



POLSKA W SYMBOLACH:
Chorągiew batalionu Kosynierów krakowskich z r. 1794.
(Według rysunku Walerego Eliasza w wydawnictwie pt. Wojsko polskie Kościuszki).

A lud to był zawsze i butny, i bitny. On najgęściej zapełniał wszystkie chorągwie niezrównanej jazdy naszej.

I husarja i wszelakie znaki pancerne i chorągwie lekkie i późniejsi ułani, wszystko ztąd czerpało ów znakomity materjał ludzki, który w rękach umiejętnych przeradzał się odrazu w najlepszego żołnierza. Tu więc tkwiła siła i potęga Rzeczypospolitej, tu był jej lud prawdziwy.

Zawadyjacki co prawda i krnąbrny w życiu prywatnem, ale potulny i posłuszny wobec wodzów swoich. Twardy i wytrwały, do słot, znoju i zimna od kolebki przyzwyczajony. Z kawałka chleba suchego zawsze zadowolniony. Do konia zaś, szabli i strzelby, jak ryba do wody, nawykły.

Lud ten czcił i kochał instytucje, które krwią swoją wywalczył; rozumiał i przestrzegał ducha ustaw swoich — jak żyd litery swego zakonu nie przestrzega.

*

Nie upłynęło więc od wejścia oddziału i dwóch tygodni, gdy w mieście całem niebyło i najmarniejszej izdebki, w którejby nie mieściło się po pięciu i więcej ludzi i niebyło dnia, w którymby na spotkanie nowej partji nie wychodzono. Partje szły wsiami, po kilkunastu, dwudziestu, rzadko więcej niż pięćdziesięciu ludzi; tylko bliscy krewniacy, dzieci i niewiasty, każdą partję odprowadzający, zdwajali na oko i potrajali ilość przybywających. Bywały dnie, w które przychodziło po kilka partyj. To też miasto wkrótce przyzwyczaiło się do tego i udział ludności w codziennych uroczystościach powitalnych z konieczności rzeczy powoli zredukował się do osób, występujących niejako z urzędu, dzieci i licznych przyjezdnych, dla których było to nowością.

Aliści dnia pewnego w całem mieście od samego rana zapanowało poruszenie niezwykłe: nie-

tylko chrześcijańska, ale i żydowska ludność żywo i z przejęciem o czemś rozprawiała. Zaciekawienie niewiedzących rosło, ale i najciekawsi nie wiele dowiedzieć się mogli, nawet u źródła wszechwiedzy, jakim był tu liczny sztab wodza wszystkich sił zbrojnych w mieście zebranych. Około południa stało się niewątpliwie wiadomem jedno: że tegoż jeszcze dnia i to wkrótce ma przyjść jakaś partja niezwykła, na spotkanie której wyjdzie stary i mały, wyjdą chrześcijanie i żydzi, cechy z chorągwiami — wyjdzie miasto całe.

Wiadomem już było, że partja jest nietylko liczną, ale i dobrze wyrobioną i wiedzie ją stary Kozłowski „ten, co to ma synów tylu“. Wkrótce tłum zbliżył się na staj kilka i śpiew idących: „Święty Boże, święty mocny, święty, a nieśmiertelny“... rozległ się donośnie; obnażano głowy, łączono głosy z nadchodzącymi i chór potężniał z każdą chwilą.

Nadeszły wreszcie cechy, nadjechali starsi i spotkali się z partją. Na czele szedł starzec białowłosy, z wielką również bielutką brodą, okrywającą mu piersi całe — starzec białowłosy, ale rzeźki



POLSKA W SYMBOLACH:
Łuk tryumfalny na pamiątkę zwycięstwa pod Raszynem 1809 r.
(Według współczesnego sztychu).

i krzepki.

Zaczęły się powitania.

Trudno było usłyszeć cośkolwiek, ale tłumy, które przybyły z partją, już się zlały w jedną masę z witającemi i wszędy piorunem rozchodziły się wieści:

Natychmiast tedy po obiedzie wszystko co żyło, wyruszyło w stronę gdzie, hen, za rozległemi lasami, wśród wydm piasczystych i lasów karłowatych wprawdzie, lecz również rozległych, leżała jedna z największych wsi ziemi liwskiej. Za tłumem ludzi pociągnęły chorągwie cechowe i kościelne i mały oddział zbrojny, z kilkoma oficerami na spotkanie wysłany.

Iść długo nie wypadło. Ci, co pierwsi wyszli za domy ostatnie, ujrzeli, nie dalej jak o wiorstę za miastem, tłum ludzi, jak gdyby prowadzony przez znaczną i zwartą kolumnę, z chorągwią na czele idącą. Zatrzymywali się więc wszyscy, rozchodząc się po obie strony drogi, aby i idącym dać miejsce i lepiej widzieć wszystko.

„Że całą partję prowadzi i w bój ją również wieść będzie pan Kozłowski, starzec przeszło 70 letni. Że w oddziale strzelców, 50 ludzi liczącym, cały pierwszy szereg z siedmiu synów pana Kozłowskiego się składa, z których najstarszy, brodacz, do ojca nadzwyczaj podobny, pięcioro dzieci w domu pozostawił... Że średni z synów, pan Jan, pierwszy z lewej strony, wzrostem najmniejszy, ze wszystkich jest najdzielniejszy; że to siłacz

który podkowy łamie i na dziki bez broni palnej z jednym kordelasem zawsze chadza i on to teraz wszystkim strzelcom przywodzi... Że najmłodszy, ośmnaście lat liczący, chłopiec śliczny jak dziewczyna, obok p. Jana idzie, a tuż przy nich, na malutkim wózku jednokonnym, kobieta czarno ubrana — to sama pani Kozłowska, jedzie przy dziecięciu najmłodszem... Że wreszcie cała partja, przeszło dwustu ludzi licząca, cała, co do jednego człowieka, wyłącznie z tej jednej wsi pochodzi...

Gdy wieści owe wśród tłumów się rozniosły, z początku jak gdyby tym wieściom nie wierzono, jak gdyby nie rozumiano, co one znaczą, aleć gdy widok partji, znajdującej się przed oczami wszystkich, każdziutkie słowo najzupełniej stwierdzał, nastąpiło chwilowe osłupienie, a po niem chwila, której ani przedtem, ani potem przy spotykaniu nadchodzących partyj, już nie było.

Nie okrzyki i śpiewy, ale jęk i płacz poszedł ku idącym...

Więc to jest ów lud, co starym obyczajem wszystek na gody krwawe wychodzi, niewiasty jedynie i małe pacholęta, i starce wielce zgrzybiałe po domach zostawiając?...

I jęk i płacz rozchodził się w głąb tłumów...

„Patrzcie, patrzcie!“ wołano „toć w każdym szeregu idą starcy, jak gołębie, biali!...“

„Patrzcie, patrzcie! — wołano — toć w każdym szeregu prawie że dzieciaków po kilku!...“

„Jezus, Maryja! Toż we wsi nikogo nie zostało! Matko Najświętsza — nikogo nie zostało!...

A oni — ubodzy, w szarych siermięgach swoich szli hardzi i wyniośli...

Siermiężni panowie podlascy!

I zrozumiano ofiarność ludu ubogiego.

I nie z jękiem i płaczem, ale z rykiem jakimś padali wszyscy na kolana, ręce ku idącym wyciągając . . . .

. . . .

Po surowych twarzach przybywających przeleciała jak gdyby iskra boża i silnie zakołatały widać serca zacne, bo zadrżały usta pobladłe i zatrzęsły się wąsiska i Bóg wie czy wszystko godnie weszłoby do miasta, gdyby nie p. Kozłowski, który choć łzy mu ciurkiem płynęły i sam mówić nie mógł, dał znak ręką swemu Jasiowi, nietylko ciałem, ale i duchem mocnemu i ten głośną komendą „baczność!“ szeregom, już słabnącym, moc i sprężystość przywrócił...

Partja w porządku wchodziła do miasta.

(D. c. n.)

BOHDAN ŁEPKIJ.

Spowiedź ziemi.

Zagasło słońce. Świat zamierkł.
Noc zwolna następuje.
Już nieprzejrzany, szary zmierzch
Wszerz ziemię obmotuje.

I głuchy już, głęboki szum
Niesie się ponad gajem,
Błąka się smutek, rodzic dum,
A radość gdzieś za rajem.

Od lasu chynie głodny wilk,
Patrzy w sioło i wyje.
Ostatni odgwar dnia zamilkł
I poćma ziemię kryje.

I płynie cicha w nocną ciem
Krzyżów i pól rozmowa —
Spowiadają się mraki ziem,
A słucha ich dąbrowa.

Mówią, że od tysiąca lat
Ludzi żywymi żarły,
Że wysysały krew i pot,
A ludy w nędzy marły.

Że wszystką wolę, siłę z nich
Wymaniają zdradliwie
I odpłat za ofiarę ich
Dają w nijakiem żniwie.

A ludzie robią noc i dzień,
A pot wsze leje się i leje,
A śmierć wycina ludzi w pień,
A Dola z nich się śmieje.

»Przebacz, o Panie, przebacz,
Nie karz ludzi złym rokiem —
Na grzechy ciężkie nie bacz —
Spójrz litościwem okiem!«

— — — — — — — — — — — —

Spowiadały się zbiory wód,
Spokojne i drzemiące,
Że latem niosły strach i głód
Na pola, zbożem lśniące.

Że nie baczyły, ile mąk
Na pola popłynęło
Z czarnych, krwawiących chłopskich rąk,
Nim zboże się zrodziło.

Spowiadały się, w mraczny most
Zbite: dąbrowy, zręby,
Iż ludziom rosły nie na zrost,
A tylko dla ich zgnęby.

Iż próchnem żarły ściany chat,
Aż drzwi odlatywały —
A z ramienionych w krzyże łat
Drwa jeno poostały.

Dzieci sinieją w izbach swych,
Nieraz i na śmierć posną,
Jako to ptactwo w rokach złych
A drzewa rosną, rosną...

A ludzie robią noc i dzień,
A pot wsze leje się i leje,
A śmierć wycina ludzi w pień,
A Dola z nich się śmieje.

»Przebacz, o Panie, przebacz,
Nie karz ludzi złym rokiem —
Na grzechy ciężkie nie bacz,
Spójrz litościwem okiem!«

— — — — — — — — — — — —

Mogiły jęczą: W mrok i w jaśń
Groźną mówimy żałobą
Za ból, za mękę i za kaźń,
Cośmy pokryły je sobą.

Za wstyd i zdradę i rozbój,
Co serce z piersi darły,
Za cały nadaremny znój
Ludów, co próżno marły.

Co szły przez własny, luty skon
Do sławy i do woli —
I zapadały w wieczny sen,
Nie doczekawszy doli...

Sława stoczyła się na miecz
W skrwawione śmierci łoże,
A Prawda z ziemi uszła precz —
Przeto pomiłuj, Boże!

Naród bije się noc i dzień,
A krew wciąż leje się i leje,
A śmierć wycina ludzi w pień,
A Dola z nich się śmieje.

(Z ukraińskiego przełożył W. Orkan).

Witkiewicz — Matejce.

Czekano, co właśnie Witkiewicz powie o Matejce: ojciec krytyki o potężnym twórcy. Raz już miał odwagę żywemu powiedzieć to, czego mistrzowi nikt w całej Polsce nie mówił. Zostało nawet potem krytykowi gorycze wspomnienie: „dla pewnych umysłów jestem dotąd tym, co zabił ducha polskiej sztuki, kazał czcić farbę, olej, pędzle i zatruł, a nawet skrócił życie Matejki“.

Dziś wrócił*) — nie jako chwalca, choć jego dzieło wielkim jest pokłonem i hołdem, oddanym geniuszowi Matejki, nie jako historyk, chociaż rzuca poglądy na całokształt olbrzymiego życia i takiejże pracy. Jedno i drugie: to życie i pracę, malarz odtworzył wielkimi i silnymi rzutami, krytyk zanalizował ich plony, obywatel zaś odgadł duszę Matejki i zrozumiał ją. Urosła z tego posągowa postać mistrza, „który w życiu Polski jest zjawiskiem nagłem, niespodziewanem, bez poprzedników i bez zwiastunów“, wyszedł z pod pióra Witkiewicza człowiek, „który miał najwyższe bohaterstwo proroków i męczenników — bezwzględne oddanie się temu, co uważał za prawdę, zatracenie się w swojem dziele bez zastrzeżeń, bez dbania o jakiekolwiek skutki swego czynu, surową powagę, głębokie i naiwne, do samego dna duszy sięgające przejęcie się uczuciem, które wyrażał, szczerość i bezpośredniość twórczego porywu, konsekwentne aż do dramatyzmu dążenie ku swoim celom i jakiś żywiołowy upór, aż do fatalizmu“.

Godzien jest Matejko hymnu — hymnem też jest książka Witkiewicza. Jest pieśnią, w której nawet zgrzyty uzupełniają harmonję, obrazem, co na nim cienie uwydatniają jasność postaci, każąc wierzyć, że gdyby nie braki i wady, toby nie było Matejki, takiego jakim był: wielki, potężny, żywiołowy, „z wrażeniem jakiegoś pocisku, wyrzuconego z olbrzymią siłą, który szedł w górę według fatalistycznego prawa natury i, doszedłszy zenitu, spadał zgodnie z tem prawem i własnym ciężarem“.

W rozbiorze twórczości Matejki znalazł Witkiewicz wszystkie cechy jego geniuszu i potrafił odważnie przeciwstawić je filisterstwu otoczenia. Szedł olbrzymimi etapami jego obrazów i zbierał po tej drodze złotą przędzę wielkich dziwów i wielkich myśli, a na tej myśli skrzydłach widział to, co i Matejko z wyżyn swej duszy: przeszłość Polski, inaczej tylko oświetloną widział ją i z inną wiarą, choć nie mniej gorącem uczuciem.

Witkiewicz nie darowałby imieniem Polski „Zwycięstwa pod Wiedniem“ papieżowi, co uczynił Matejko, podobnie jak Jan III, który z pobojowiska wiedeńskiego posłał papieżowi zdobytą chorągiew proroka. Ale Witkiewicz dobrze rozumie ten fakt, ceni go niezmiernie i żywo odczuwa chwilę, kiedy Matejko stanął przed Leonem XIII, „jednym z najprzebieglejszych polityków, najwyrachowańszych i zimnych umysłów owego czasu... stał oto, jak cicha owieczka przed przebiegłym wężem, przed Namiestnikiem Chrystusa, który na nim zawiesił orderową gwiazdę, za którego wyrzynano bez protestu Unitów, który nigdy nie bronił słabych przeciwko możnym, który zawiesił o r d e r C h r y s t u s a na piersi, w której biło jedno z najpodlejszych serc naszych czasów, na piersi Bismarka...“

„...Jest on jednym z tych ludzi — powiada Witkiewicz na innem miejscu — którzy jak słupy ogniste wśród mroku niewoli wiodą naród wzniosłemi drogami i nie dają mu ani spodleć ani zginąć w rozpaczy, ani zapomnieć nadziei“. Wielkie to posłannictwo Matejki głosi autor po przez wszystkie karty swojej księgi, a głosi je w słowach wielkich i z wielkiem namaszczeniem, godnem czynów, które dokonał Matejko.

Dlatego też książka niniejsza nie jest studjum krytycznem, ale impresją z pozbieranych myśli Matejkowskich obrazów, jest snopem świateł mocarnych, jest odnośnie do Matejki tem, co widział sam Matejko i na płótnie uwiecznił wówczas, gdy zajrzał do grobu Kazimierza Wielkiego.

A wśród tylu właściwości, jedną odgadł Witkiewicz, szczególnie zasadniczą cechę Matejki — to ten jego smutek elementarny, „który stworzył rasę ludzi, napiętnowanych jakimś fatalistycznym tragizmem, patrzących oczami, w których lśni żar namiętności, zduszonej niedającem się opanować przeczuciem złowrogich nieszczęść... Mają oni dość siły

---

*) Stanisław Witkiewicz: Jan Matejko. Wydawnictwo „Wiedza i sztuka“. Lwów 1909.

żeby żyć w tym cyklonie tłumnych ruchów, jaki wrzał na rubieży dwóch światów — Azji i Europy, dość mocy, potęgi i rozumu, by stworzyć i utrzymać to, co było dawną Polską i dosyć namiętności, dosyć odwagi i zaślepienia zbrodniczego, by zniszczyć i zwalić w gruzy tę zadziwiającą budowę“.

Taki jest ogólny ton książki Witkiewicza. Ilustruje ona działalność Matejki tak żywo, że właściwa jej część obrazkowa tworzy w niej niejako osobną całość. Dzieło ozdobione jest 275 ilustracjami i jest zdaje się jedynem dotychczas w Polsce, pod względem bogactwa obrazkowego. W nawale ilustracji, przedstawiających całość działalności Matejki prawie że bez żadnego wyjątku, sam tekst zdaje się ginąć miejscami, a w każdym razie nie wystarcza do ogarnięcia wszystkiego, co z dzieł Matejki reprodukowano. Stąd wrażenie niewypowiedzianego ogromu, który całej książce dodaje uroku czegoś nieskończonego, niedopowiedzianego, bezbrzeżnego — jak właśnie talent Matejki. *J.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Rok Słowackiego. Po „Kurjerze Warszawskim“ wystąpił i „Dziennik Kijowski“ na nowy rok starego stylu z dodatkiem noworocznym, poświęconym pamięci Juliusza Słowackiego. Z artykułów, poświęconych poecie, jeden zwłaszcza ma wartość osobistych wspomnień, mianowicie p. Edw. Paszkowskiego o Krzemieńcu i to o tyle niestety, że autor znający bardzo dokładnie miejscowe stosunki, wyklucza stanowczo możność istnienia domu, w którym się Słowacki urodził. Dom ten znajdował się wśród zabudowań licealnych i dzisiaj już nie istnieje. Z innych pamiątek pozostał tylko na cmentarzu „tunickim“ ongi wspólnym, dziś wyłącznie prawosławnym, grób matki Słowackiego, z tablicą na bocznej ścianie nagrobka, poświęconą pamięci poety. W małym kościółku Krzemienieckim znajduje się ponadto skromna, świeżo wmurowana tablica, obwieszczająca, że sam kościół został wymalowany „na pamiątkę 100-letniej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego“.

Historja powstania narodu polskiego 1863 i 1864 r. przez Bolesława Limanowskiego. Lwów 1909. Polskie Towarzystwo nakładowe. Wydanie drugie przerobione. Rzadką jest bardzo rzeczą, by autor w drugiem wydaniu książki, w której każda karta drga do dziś jeszcze nieukojoną namiętnością, bolem zawiedzionych nadziei, żalem i poczuciem winy własnej i cudzej, mógł powiedzieć z pełną świadomością, że ogólnego swego poglądu i krytycznej oceny samych wypadków, zmieniać nie potrzebuje. Od czasu pierwszego wydania książki, to jest od r. 1882, Bolesław Limanowski przeżył wiele. Umysł jasny, rozległy, filozoficznie ukształcony i w pracy społecznej zahartowany, dusza długiem wygnaniem utęskniona, z dziejów tych krwawych, a niedawnych program sobie tworzył polityczny i żywota codziennego pacierz. I jeżeli pierwsze wydanie „Historji“ objęło cały współczesny materjał drukowany i pisany, o ile był dostępnym, oraz wspomnienia osobiste i świadków naocznych opowiadania, to nad wydaniem drugiem zaciążyła olbrzymia literatura i polemika — taki Berg i Przyborowski, Koźmian i Romanowicz, Bronisław Szwarce i wielotomowe wydawnictwo materjałów do historji styczniowego powstania. Limanowski w drugiem wydaniu prostował szczegóły, wiadomości, ale przy ideologji został tej samej i z tą samą wiarą patrzy na owocność krwi przelanej. Owszem w najnowszych wypadkach widzi, zupełnie słusznie, potwierdzenie swoich zapatrywań z przed lat 27. „Finlandja nie buntowała się, a wszakże Bobrikow przerabiał już ją był na prowincję moskiewską i gdyby nie wojna japońska i nie wypadki rewolucyjne w całem carstwie, to nie uratowałaby ona swojej samoistności, i dzisiaj, gdy carat nie czuje na swojem gardle noża rewolucyjnego, rozpoczyna na nowo obdzierać ją z praw jej narodowych. A u nas, czyż ustępstwa, porobione przez carat w chwili grożącego mu niebezpieczeństwa, nie zostają brutalnie wydzierane, w miarę, jak mu się udaje rozbijać organizacje rewolucyjne. Padły już ofiary: Macierz szkolna, Związek stowarzyszeń zawodowych, część szkół narodowych — a któż może być pewny, że jednem pociągnięciem pióra i reszta nie zostanie zniesioną?

„I czyż powstanie 1863 r. same tylko klęski sprowadziło? Czyż radykalne rozwiązanie kwestji włościańskiej, które z konieczności było jego następstwem, nie wzmocniło potężnie samych podstaw bytu narodowego?“

Pozostawiając odpowiedź na to pytanie czytelnikowi, dokonał Bolesław Limanowski drugiego wydania swojego pięknego dzieła, poprawionego tylko co do szczegółów i wiadomości, zwłaszcza o rzekomo ogólnie wrogiem usposobieniu włościan dla powstania.

Włodycy polscy na tle porównawczem słowiańskiem. Napisał Władysław Semkowicz. Lwów 1909. Poddając ponownej krytyce cały, dotychczas znany, materjał o klasie włodyczej, głównie w Małopolsce, zestawił go autor z wynikami badań w tej kwestji u innych ludów słowiańskich i doszedł do częściowo różnych rezultatów, aniżeli śp. Potkański w pracy o zagrodowej szlachcie i włodyczem rycerstwie. Prawne i społeczne stanowisko włodyków w Polsce nie było odmiennem od stanowiska niższej szlachty u innych narodów słowiańskich, w szczególności zaś w Polsce w stosunku do Kościoła nie było różnicy między szlachtą a włodykami. Ważnem jest stwierdzenie przez autora, że obok nieherbowych, byli także w Polsce włodycy herbowi, co uprawnia do hipotezy, że niektóre rody rycerskie wydały z siebie, prócz szlacheckich, także włodycze gałęzie. Co do ich genezy, to na podstawie badań porównawczych przyszedł autor do przekonania, że nazwa włodyków obejmowała pierwotnie całą klasę ludzi, mających własność ziemską, a później została mianem tych tylko rodzin rycerskich, które nie uzyskały dostępu do urzędów, przez to nie weszły do stanu szlachty i utworzyły odrębną w łonie rycerstwa grupę. W pierwszej połowie XV wieku, ci z włodyków, którzy jeszcze nie pogrążyli się w żywiole kmiecym, rozpłynęli się w masach szlacheckich.

Rozprawa p. Semkowicza odznacza się jasnością sądów, ugruntowaną trafnością przypuszczeń, a przedewszystkiem tem, że do kwestji stanu włodyczego wnosi wiele światła i nieznanych szczegółów.

Z „Drukarni Polskiej“, ul. Chorążczyzny l. 31. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.